

Jest zapewne równe przyjemności lekarza diagnosty opisuującego zwymiotowanie kolejnych organów ciała. Trzeba to jednak robić nie dlatego, żeby jątrzyć i uprawiać tanią krytykę, ale próbować się jakoś przed tą chorobą iście lotrowskiej „brudnej wspólnoty” akademickiej bronić. Będziemy dowodzić, że źródła tej choroby mają charakter głównie moralny i nie są skorelowane z inteligencją czy poziomem wykształcenia. Przemawiać by mogło za tym chociażby doświadczenie życiowe, które Leopold Tyrmand ujął w sugestywnym spostrzeżeniu: *Są półśrodek nas lotry takiego kalibru, że dzięki fałszywej aurze nikomu nie udaje się obnażyć ich przecherstw i jadu. Znam takich (...) i wierzę, że czytając te słowa pojmą, iż to o nich chodzi*. Należy więc ludzkie niegodziwości wskazywać palcem i głośno o nich mówić, aby wyrażać, kto, kiedy i jak nam te pedagogikę socjalistyczną (a potem postmodernistycznie ukąszoną) tworzył, by próbować znaleźć lepszą odpowiedź, dlaczego do dziś nie możemy się pozbyć. Nade wszystko rzecz powinna być opowiadana głównie dla przestrogi, bo trwa i wciąż ma się, niestety, dobrze. Albowiem nieopowiedziana jakby nie zdarzyła się nigdy.

Nieprawidłowości związane z odnośną habilitacją naprawdę miały miejsce (zob. *habilitacja.eu*)! Choć Zło istnieje, brakuje winnych i naturalnego zawstydzenia. Jest za to oburzenie (zob. kuriozalny list prof. Aleksandra Nala-

Chodzi o wysuniętych przez uczelniane komitety PZPR do nominacji ponad siedmiuset „marcowych docentów” (posiadali stopień doktora), którzy potem wzajemnie się habilitowali i awansowali, co i dziś jeszcze praktykują.

skowskiego do habilitantki). Gdyby tak nie było, zapewne utytułowani uczestnicy postępowania habilitacyjnego nie uciekaliby się do żenujących pogroźek pod adresem habilitantki, odmawiania jej prawa do merytorycznego odpiernia postawionych zarzutów itp. Okazuje się, że nie zapomnieli też o wytoczeniu armaty: zarzucono habilitantce chorobę psychiczną.

Nieprzypadkowo w „Listach staro diabła do młodego” stary poucza młodego, że najważniejsze jest, by ludzie zwątpili w jego istnienie. Kiedy już to się stanie, diabeł ma rozwiązane ręce... Na przekór diabłu spieszymy się więc nagłaśniać prawdę, piętnować istniejące zło klientelizmu i zwykłe wazeliniarstwo, zanim nam tego w aureoli państwa prawa zabronią – wykorzystując (o ironio!) wymiar sprawiedliwości. Póki co – kopiąc się z koniemi – habilitantka jest na pozycji przegranej, ale odważnie upubliczniając dokumentację tej nierównej walki, mocno już zalazła za skórę butnego, pewnego siebie pedagogicznego salonu i niejednego brylującego tu od lat „mistrza”. Ci bowiem nie przywykli do jakiegokolwiek riposty, więc zaskoczyła ich tak odważna i dlatego kłopotliwa.

Dlatego pryskają pozory nadętej powagi. Gubią się i płaczą znikczemiała autorytety. Tracą grunt pod nogami, gdyż pojąć nie mogą, jak mogli dość do tak niebezpiecznego „wypadku przy pracy”. Jak to możliwe, że habilitantka potrafiła wejść w posiadanie dokumentu poufnego? Przecież (na miły Bóg!) nie o wszystkim powinna wiedzieć. Z wdziękiem wiejskiego ormowca interweniującego w biłatkę miejscowej żulii na potańcówce w re-mizie Ochotniczej Straży Pożarnej pan dziekan Petrykowski wzywa habilitantkę do ujawnienia okoliczności: jak jej się to udało? Nieomal umiera z ciekawości, bo przecież nie powinno.

Niektóre zachowania i wypowiedzi w oficjalnych pismach budzą (u niesojujonego z postmodernistycznym wyględem) litę i trwogę. Doszło do wy-mięcia m.in. do zdyskwalifikowania do-robku habilitacyjnego uznanego przez tych samych (niektórych) recenzentów jako znaczący. Wszystko to trochę przypomina pokrętną odpowiedź sąsiadki, która pożyczła czajnik i na zwróceniu uwagę, że oddała dziurawy, odrzekła: *Po pierwsze oddałam cały, po drugie był już dziurawy, jak brałam, a po trzecie to nie ja go pożyczalam*. Oby ten mętnik na pedagogicznych salonach przyniósł wreszcie jakieś dobro. Był zapowiedzią światła w tunelu...

NIE CHCIAŁA SIĘ ŁASIĆ

To głównie z tego powodu w pedagogicznym „naukowym piekło” – przypomnijmy – znalazła się dr Joanna Gruba – nauczycielka akademicka z Uniwersytetu Śląskiego – na swoje nieszczęście dotknięta pasją poznawczą, poczuciem godności osobistej i mocnym charakterem. Gdyby te cnoty nie były jej dane, prawdopodobnie w pracy mogła mieć święty spokój. Oczywiście okupiony patologiczną maksymą, w myśl której *kto o wszystkim milczy – ma ze wszystkim spokój!* Tymczasem – *masz, babo, placek!* Mierzy wysoko i w dodatku śmie stawiać warunki. Zachciało jej się zostać samodzielnym pracownikiem naukowym (habilitacja), ale nie za każdą cenę. Nie znosi sługusów, lokajstwa i nie lubi się łaścić. I to ją zgubiło. Ma-

jeszcze znakomitsi. My okrzyknijemy cię posiadaczem najpiękniejszego z możliwych życiorysu naukowego, a ty dasz skromną ripostę, że nasze dokonania nie są wcale gorsze. Tak oto salon pedagogiczny o przymiotach stada, funkcjonujący długie lata, doprowadził do sytuacji,

pozwalającego publicznie postawić problem akademickiego skundlenia. Widać, że puścili profesorowi nerwy, gdy sobie uświadomił, iż da się posiać zwątpienie w słuszność wyboru moralnego, przed jakim stoją pretendenci do (obowiązkowej) habilitacji.



REFLEKSJE NIEWYMANCYPOWANEGO PEDAGOGA

HERBERT KOPIEC

Obiecałem miesiąc temu, że dokończę opowieść o obnażaniu „naukowego piekła”. O jego intelektualnej aurze, funkcjonujących tu sługusach, oswojeniu chaosu i bezsensu i o tym, jak tam można trafić, dlaczego i na czyje zlecenie. Wiem, że przyglądanie się degrengoladzie społeczności uczonych od zewnątrz, a tym bardziej od środka, nie jest zajęciem przyjemnym.

Nie będąc specjalistą...

CZĘŚĆ II



rzyło się jej zostać kiedyś szanowanym profesorem pedagogiki i kroczył po naukowych ścieżkach/procedurach, jeśli już nie z wysoko podniesionym czołem, to przynajmniej z poczuciem, że się po drodze nie pozwoliła upodlić/upokorzyć. Gdyby się jej to udało – byłoby to wyczyn nie tyle jaki. Bo oznaczałoby to, iż potrafiła odwojować pedagogikę (na swoim indywidualnym froncie) z rąk zdeprawowanej klientelizmem i wazeliniarstwem profesury. To byłby prawdziwy przełom, wymagający jednak wymówienia posłuszeństwa Złu.

SKĄD SIĘ BIORĄ NADĘCI I MOŹNI MISTRZOWIE NA PEDAGOGICZNYCH SALONACH?

Observacje wskazują, że istnienie, trwanie, poczucie wielkości i hegemonii tych mistrzów wynika nie tyle z intelektualnych/naukowych osiągnięć i przewagi nad innymi, ile z trwającego od ponad pół wieku wzajemnego pompowania własnego ego. W rozumieniu politycznych uwarunkowań zdemoralizowanych salonowych półinteligentów z tytułami naukowymi przydatna jest wiedza o ich „marcowym” rodowodzie. Otóż za moment kluczowy tej katastrofy przyjmuje się marzec 1968 roku. Chodzi o wysuniętych przez uczelniane komitety PZPR do nominacji ponad siedmiuset „marcowych docentów” (posiadali stopień doktora), którzy potem wzajemnie się habilitowali i awansowali, co i dziś jeszcze praktykują (A. Dobos, 2010). Owi nadęci moźni mistrzowie posługują się raczej prostym patentem, otrzymanym po drugiej wojnie światowej od tzw. władzy ludowej. Działają według dość prostej i skutecznej zasady: my ogłosimy, że jesteś wyjątkowo znakomity, a ty w drodze rewanżu powiesz, że my jesteśmy

do której dojść w końcu musiało. Pijąc sobie z dziobków, wykreowane za pomocą wskazanego procedury pedagogiczne „znakomitości” uwiaryliły w swą naukową wielkość i moc, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że kazirodce rozmnażanie się w ramach jednego, bardzo ograniczonego genetycznie stada, musi skończyć się fatalnie. Czyli na świat zaczęły przychodzić mutanty i odstręczające intelektualne sługusy, potworki, w których znakomitość i mistrzostwo już nie sposób – komuś, kogo jeszcze do cna nie opuścił rozum – dać wiary (por. „Warszawska Gazeta” 2015).

Aby to było możliwe, musi obowiązywać (bezwarunkowo!) dyktawa: *sługus/pracownik ma się łaścić*. Konieczność. Bez żadnych tam wyjątków! Badacz tego mechanizmu, amerykański psycholog Zimbardo, w książce „Efekt Lucyfera” zauważył: *Możni z reguły nie wykonują sami najbrudniejszych roboty, podobnie jak mafia zostawia „spuszczanie łomotu” swoim sługusom*. A Pani, dr Joanno G., ma czelność to kwestionować? A może nawet obalić? Proszę bardzo, decyzyja należy do Pani. Ale w jej następstwie zaczęła się Pani kopać z koniem...

Trudno o wyższą stawkę tej walki. Świadczy o tym oskarżycielskie pytanie, jakie zadał habilitantce ulubieniec lewackiego salonu pedagogicznego w Polsce (sam notabene chcący uchodzić za pedagoga prawnicowego, konserwatywnego) – prof. Nałaskowski: *Czy jest Pani skłonna zrozumieć, że swoimi wpisami deprecjonuje Pani wszystkich kolegów, którzy na podstawie opinii znieważonych przez Panią recenzentów uzyskali naukowe awansy*? Przyjrzyjmy się, co tak naprawdę do żywego rozsierzdziło mistrza Nałaskowskiego? Myślę, że głównie nadanie sprawie charakteru medialnego,

Otworzyła się na szeroką skalę możliwość i szansa stawiania pytań w rodzaju: czy warto było się ześwinić dla habilitacji, skoro ci, którzy ją mają, przestali być świętymi krowami? Nagłaśnianie wątpliwości odnośnie do miarodajności opinii wystawianych przez ludzi, którzy wyżej cenią sobie habilitację od własnej godności – nieuchronnie zachęca do rewizji takiej postawy życiowej. A dopuszczalny, bezprzykładny atak na recenzentów, który tak prof. Nałaskowski przestraszył, nie tylko odbiera habilitacji jej niezbędny blask, lecz uderza w dość powszechne przeświad-

Postępują się raczej prostym patentem, otrzymanym po drugiej wojnie światowej od tzw. władzy ludowej: my ogłosimy, że jesteś wyjątkowo znakomity, a ty w drodze rewanżu powiesz, że my jesteśmy jeszcze znakomitsi.

czenie o nieodzowności inwestowania w karierę zawodową poprzez tworzenie kapitału założycielskiego tej kariery... w postaci skundlenia właśnie. Słowem: pretendent do habilitacji swym skundleniem daje znak, iż znana jest mu głęboka mądrość zawarta w sentencji: *aby zostać profesorem, trzeba być mile widzianym wśród profesorów*, i potrafi się tego konsekwentnie trzymać, zdobywając niezbędne zaufanie swoich przełożonych/mistrzów.

Oni muszą być pewni jego słuszności i posłuszeństwa. Dlaczego? Wyposażają go przecież w niezbędny broń. Jest nią głos, za pomocą którego udziela się poparcia przy wyborze do różnych ważnych gremiów. Tu muszą być swoi. Wszak nie ma innej drogi rozciągnięcia polityczno-ideologicznej kontroli nad całą akademicką

pedagogiką w Polsce. To nie przelewki! A nuż zgłoszą taki jeden z drugim nie tak, jak trzeba? Czy jest Pani w stanie sobie wyobrazić – Pani dr Joanno G. – co by się działo, gdyby w postępowaniu habilitacyjnym ówczesni recenzenci Pani dzisiejszych recenzentów popełnili jakiś błąd, dostrzegłby w pretendenta do habilitacji – przykładowo – rażąco brak dyspozycji do skundlenia, bądź irytujące, uporczywe trwanie przy prawdzie? I mimo to ktoś taki prześlizgnąłby się, miał zatwierdzoną habilitację? I jest dziś profesorem pedagogiki, głosuje w ważnych sprawach, jak mu się żywnie podoba, opiniuje Pani habilitację? Wiem, wiem, że jest trudno to sobie Pani wyobrazić. Dziś już wiemy, że nie popełniono żadnego błędu. Pani recenzenci (zanim sami osiągnęli habilitację) zostali zapewne starannie pod wzglę-

REFLEKSJA KOŃCOWA

Odrzucając habilitację, salon pedagogiczny dopiął swego. Potwierdził przy okazji brawurą tezę barbarzyńskiego postmodernizmu, w myśl której (jako-by) *rzeczy niemożliwe stają się możliwe*. Ale równocześnie uwiarygodniła się też intuicja satyryka Jerzego Dobrowolskiego, który mawiał, że *nie ma nic gorszego niż człowiek wykształcony ponad swą inteligencję*. Istotnie, coś musi być na rzeczy, skoro z upublicznionej dokumentacji, zamiast wyważonej refleksji nad tym, co się stało, wyziera jednolity, zgodny, zdecydowany ton poirytowania i złości. Mało. Pobrzmięta także nutka żalu i tęsknoty naszych wykształconych akademickich funkcjonariuszy nauki za przeszłością. Podobną do tej, w której jak na taśmie wytwarzano znormalizowanych intelektualistów. Można też odnieść wrażenie, iż niedoścignionym jej wzorem mogłyby być czasy towarzysza Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Ten, jak wiadomo, miał się pod analizowanym tu względem komfortowo dobrze: mógł bowiem zaarrestować, kogo chciał.

Co tymczasem może dziś zrobić naszej habilitantce taki („możny” skądinąd) prof. Nałaskowski? Ano, może napisać do niej list. I to zrobił. Ostro przywołując habilitantkę do porządku, rozpoczął swojsko, nieomal po ojcowsku, protekcyjnie (per „Koleżanko!”), ale zakończył już w zgola innej konwencji. Podpisał się ni mniej, ni więcej: „prof. zw. dr hab. Aleksander Nałaskowski”. Można przypuszczać, że owa fraternizacja nie jest przypadkowa. Zastosowana jednostronna poufność ułatwia profesorowi zwyczajnemu doktorowi habilitowanemu wygarnąć (swojej koleżance!) szczerą prawdę, iż – nie będąc wprawdzie specjalistą! – rozpoznał u niej, cytując: *absolutny, patologiczny brak pokory*. Nie poprzestał (choć przecież mógł!) na postawieniu samej diagnozy. Zalecił też – swojej koleżance! – hospitalizację: *To się winno leczyć* – napisał zatroskany. Myślę, że ogólna emocjonalna wymowa listu (warto go przeczytać w całości) więcej mówi o mentalnym formacie wykształconego autora, aniżeli opasłe tomy (gdyby takie były!) poświęcone analizie bajdurzenia oburzonego pa-

Wszyscy jak jeden mąż zachowali się jak trzeba. Po komsomolsku. Wzięli się wzajemnie w obronę, nie dając najmniejszych szans, aby komukolwiek spadł włos z głowy. (...) nie pozwolili się zaciągnąć przed oblicze sprawiedliwości.

wiana z wyższym wykształceniem na temat rozpoznanego braku posłuszeństwa we własnym stadzie. Prof. Nałaskowski w swoim podejściu do dr Gruby nie jest specjalnie oryginalny. Odnotujemy, bo to fakt niezmienny, iż sięgnął do znanego od lat 60. ubiegłego wieku pomysłu lewackich zachodnich transformatywnych intelektualistów, zgodnie z którym nie należy dyskutować z przeciwnikami. Zamiast tego należy ich ośmieszać i sugerować, że są chorzy psychicznie. Istnieje „tajny przepis” – opisany przez psychologów – zgodnie z którym: *jeśli chcesz zdeprecjonować to, co robisz jakaś osoba (...) nazywaj ją umysłowo chorą* (P.J. Buchanan, *Śmierć Zachodu*, 2005, s.109).

Jeśli zważyć, że żadna z recenzji nie zawiera oceny zdrowia psychicznego habilitantki – diagnoza Aleksandra Nałaskowskiego ów niedostatek z powodzeniem przewyciężyła i zrazem unieważnia, nadając cynicznie walor obiektywnej prawomocności. Tak oto nadawanie sensu temu, co bezsensowne, jeszcze i tym razem zwyciężyła. Ale coś się jednak zmienia. Chyba przezuczucją to już także ci, którym te glupoty i draństwa poniekąd zawodziliśmy. Gdyby tak było, to warto odnotować co najmniej dwa powody do radości. Udręki i upokorzenia naszej habilitantki nie poszły na marne i kto wie, czy nie zaowocują przyspieszeniem nadejścia dnia, w którym uda się przegonić *sługusów* – specjalistów od brudnej kadrowej roboty – tam, gdzie pieprz rośnie. A nawiązując do radości w kontekście ponurych spostrzeżeń z piekła pedagogicznego wziętych – przypomnijmy słowa, które zwykły powtarzał święty ksiądz Jan Bosko: *Pamiętajcie, diabeł łąka się ludzi wesolych!* ☛